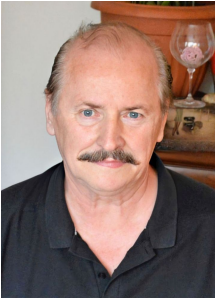


Fragment relacji świadka historii



LESZEK KAJDAS

ur. 1953, Lubań Śląski



Zakres terytorialny i czasowy	Dzierżoniów, 1980–1999
--------------------------------------	------------------------

Leszek Kajdas wspomina Zbigniewa Cieślika

Zbigniewa Cieślika poznałem w sierpniu 1980 roku podczas strajków, które odbyły się w „Silesianie”. Zbigniew Cieślik pracował na oddziale trzecim w charakterze mistrza tkalni. Wykazał się dosyć dużą odwagą w pierwsze dni strajkowe. Włączył się czynnie do komitetu strajkowego. I później współpraca w komitecie strajkowym, a następnie w komitecie zakładowym, układała nam się bardzo dobrze, z uwagi na to, że był to człowiek, który się nie bał. Wiedział, że rację ma strona solidarnościowa, że domagamy się praw, które powinny być nam dane w kraju demokratycznym. A nasze racje związkowe staraliśmy się wspólnie wyegzekwować od dyrekcji, ale również od naszego ówczesnego rządu, popierając postulaty gdańskie. Muszę powiedzieć, że spośród wielu kolegów, z którymi współpracowałem w tamtym okresie, to Zbigniew Cieślik wyróżniał się tym, że na nim zawsze można było polegać, że jego słowo było tyle warte, ile rzeczywiście on swoim autorytetem, silną wolą mógł potwierdzić. Nie było ani razu takiej sytuacji przez te kilka lat współpracy, żeby wyszło coś nie tak z jego ust. Jeżeli nie miał w czymś racji, to starał się to przyznać. Był człowiekiem z natury rzeczy ciepłym. Przyjemnie było z nim po prostu rozmawiać.

W okresie stanu wojennego, podczas internowania, gdy nas zawieziono do Świdnicy, on był w innej celi. I z kolegą, z którym razem siedzieli w celi, podjęli strajk głodowy, co było ewenementem w tamtym czasie, z uwagi na to, że niektórym po prostu było brak odwagi. Ludzie bali się po prostu, bo sytuacja była niejasna. Próbowano wyrzucić nas presją. Puszczano przez głośniki opisy sytuacji, wypowiedzi kobiet, których bliscy górnicy strajkowali w kopalni, płacze, krzyki. I to trochę źle wpływało na psychikę człowieka. Natomiast Zbyszek Cieślik był człowiekiem silnym, silnego charakteru. Dzisiaj wspominam go i wiem, że gdyby była jakakolwiek sytuacja, to można by było na niego liczyć. On nie był człowiekiem, który zmieniał zdanie. Miał swoje zdanie, potrafił je wyartykułować. Był w porządku człowiekiem.

Po opuszczeniu ośrodka internowanych w Kamiennej Górze, ja wyszedłem wcześniej, a Zbyszek Cieślik miesiąc później, spotkaliśmy się w Dzierżoniowie. Mieszkał niedaleko mnie na ulicy 11 Listopada. Rozmawialiśmy o tym, jakie podjąć działania teraz, kiedy jesteśmy, pod ścisłą obserwacją. Znaliśmy się z panem Borawskim, nauczycielem w szkole zawodowej w Ząbkowicach. Zbyszek miał z nim bliższy kontakt i przywoził z Ząbkowic ulotki. Wspólnie próbowaliśmy w „Silesianie” stworzyć tajny komitet. Ale nie bardzo wiedzieliśmy, z kim, bo jak się okazało później, ci ludzie, którzy na początku, w roku 1980, byli chętni, zaangażowani, później się trochę obawiali, bali się co niektórzy. Ale my też mieliśmy obawy, czy nas po prostu przez czyjąś lekkomyślność nie zamkną z powrotem. Więc ograniczaliśmy nasze działania do minimum. Zbyszek przywoził te ulotki. Nie było co prawda tego dużo, ale wrzucaliśmy, je do szatni, żeby te kobiety, czy mężczyźni, czy członkowie „Solidarności” przeczytali, jak wygląda sytuacja w kraju.

Umawialiśmy się, że będziemy wspierać manifestacje nie na terenie Dzierżoniowa, bo tu ludzie nas znali. „Silesiana” liczyła w tamtym czasie około cztery i pół tysiąca ludzi i wielu z tych ludzi nas znało. Tym bardziej, że ja mieszkałem wtedy w Rynku. Wyjeżdżaliśmy więc po cichu do Wrocławia. I mieliśmy okazję uczestniczyć tam w zamieszkach. Ale nie było tego aż tak dużo, bo któregoś razu o mały włos nie wpadliśmy. Nie stało się tak dzięki kolejarzowi, który nam pokazał wyjście, gdy uciekaliśmy. Miałem wtedy trzydzieści siedem lat chyba [trzydzieści dwa lata – dop. red.], a

Zbyszek był około dziesięć lat ode mnie starszy [dwadzieścia dwa lata starszy – dop. red.]. On jako dawny zawodnik miał dość dobrą kondycję jak na swój wiek i te biegi, te ucieczki po Wrocławiu, dobrze nam wychodziły.

Dla nas ważne w tamtym czasie było to, żeby się nie zamknąć, nie schować, ale w miarę naszych możliwości coś robić i nie dać się złapać. Udało nam się trochę ulotek przewieźć. Udało nam się coś zmanifestować. Z dzisiejszego punktu widzenia, niektóre sytuacje były komiczne. Z czapkami ponaciąganymi na oczy, z szalikiem pod szyją, żeby nie rozpoznali. Bo trzeba podkreślić, że ubecja fotografowała dość mocno. Później na komendach, tym których połapali, pokazywali te zdjęcia i wypytywali, kto, co, gdzie. Mówił mi o tym kolega z Wrocławia. Sytuacja była nieciekawa. Tak więc po internowaniu staraliśmy się działać w miarę naszych możliwości. Nie sztuka dzisiaj jest wyjść na ulicę i protestować. Wtedy takie wyjście na ulicę, to jakby zgłosić się od razu na komendę. Staraliśmy się tego unikać.

Była też mowa o tym, żeby przeprowadzić większy strajk na terenie zakładu, żeby zrobić jakąś akcję. Ale głosy były podzielone, bo nie chcieliśmy narażać ludzi, szczególnie dlatego, że w zakładzie większość stanowiły kobiety. My tutaj nie mieliśmy takiej siły. Gdyby to był zakład z przewagą mężczyzn, to byłoby łatwiej, bo mężczyźni inaczej podchodzą do tematu jak kobiety.

Okolo 1988, 1989 roku, jak się już mówiło o okrągłym stole, po raz pierwszy spotkaliśmy się z Janem Lityńskim w Ząbkowicach Śląskich. Na tym terenie był on częstym gościem. Rozmawialiśmy na temat nowych wyborów i okrągłego stołu. Co mogliśmy robić na terenie zakładu? Niewiele. W momencie, kiedy Henryk Wujec dał pierwszy sygnał: *Bierzcie się i róbcie, montujcie ten związek*, to ja niewiele czekając, na drugi dzień dzwonię do Zbyszka i mówię: *Reaktywujemy „Solidarność”*. On jeszcze miał trochę wątpliwości: *Co dyrektor na to?* Ja na to: *Co się martwisz, pójdziemy i się dowiemy*. Postanowiliśmy, że reaktuwujemy związek 8 marca. Chyba to była pierwsza komisja zakładowa reaktuwowana na naszym terenie. A dyrektor wręcz odwrotnie, powiedział: *Panie Leszku, może samochód dać do dyspozycji?* Myśleliśmy, że zadzwoni na SB i każe nas pozamykać, a on nie. On już chyba też wiedział, o co chodzi w tej całej grze. Chciał dać nam samochód, żebyśmy mogli jeździć do oddziałów i reaktuwować komisję zakładową. Było pięć oddziałów, na każdym oddziale komisja oddziałowa. To jakby pięć zakładów. Wspólnie z przedstawicielami oddziałów udało nam się reaktuwować związek. Mało tego, zwróciliśmy się do dyrekcji o zwrot zagarniętych pieniędzy ze związku. To było na tamte czasy dziesięć milionów złotych. Wygraliśmy i otrzymaliśmy te pieniądze. Związek otrzymał te dziesięć milionów złotych zwrotu. Co prawda tłumaczono, że część załogi nie jest w związku, ale po naszym nacisku dyrekcja zgodziła się i te pieniądze zostały nam przelane na konto.

Data i miejsce nagrania	7 lipca 2021, Dzierżonów
Rozmawiał/a	Teresa Rodak, Beata Hebzda-Sołogub
Redakcja	Jadwiga Horanin
Prawa	Forum Dialogu Między Kulturami